

Cena 10 groszy.

# KOLCE

CZCIONKOTŁOK SATYRYCZNO - KRYTYCZNY

Nr. 3.

Warszawa, dnia 1 listopada 1925 r.

Rok 1.

## ZALEGŁE PODATKI.



Ach, jakież to dziś czasy!  
Kłopoty, ambarasy,  
Protesty och! wekslowe  
Nieszczęsna susza głowę.

Jak rybę oko siatki  
Nas gnębią wciąż podatki,  
Pod jarzmem ich się zgina  
Milioner i chudzina.

Więc pytam: kto się zdziwi,  
Gdy ludzie, co są żywi,  
By zbyć się czasem troski,  
Spiją nektar boski!

Ot, właśnie pan Walery  
(Chłop z gruntu bardzo szczerzy)  
Przyjechał do Warszawy  
Załatwić pilne sprawy.

Podatki miał zaległe,  
Więc sprzedał drzewo, cegle,  
Spirytus i pół żniwa,  
Aż zebrał moc grosiwa.

Z tem wkroczył do Victorji.  
Tu w drogę wszedł Amor i...  
Walery chwil nie tera  
Ku zgrozie imć kelnera.

Dalszy ciąg powieści

### CZŁOWIEK O MIEDZIANEM CZOLE

Odciąć i zachować do oprawy

ogródek, do którego schronił się zbieg, miał trzysta kwadratowych łokci obszaru i dwa koślawe drzewka pośrodku. Ukryć się tu mogłaby mysz polna, ale rosły mężczyzna napróchnoby się kusił o znalezienie tu schowka dla siebie. Otoczony z trzech stron częstokołem, z czwartej zamykał się ten ogród ścianą małego, parterowego domku. Sześciu policjantów i dwóch czerkiesów wtargnęło do mniemanej kryjówki bandyty. Każdą piędź ziemi przedptali po kilkakroć, bodąc szablami i bagnetami każdą podejrzaną wyniosłość gruntu. Otrząśnięto marne krzewiny, jakkolwiek było widocznem, że raczej one mogłyby wisieć na Bezborodce, niżli on na nich. Całą tę przesadną i bezmyślną gorliwość zrodził błąd strach przed deportacją na pole chwały.

— Dość tego deptania po własnych piętach! — huknął Iwan Igorowicz. — Czy nie widzicie, osły, że tu chyba duch mógłby ująć naszej uwadze. Przetrzaskań dom. W piwnicy lub na strychu znajdziecie go napewno.

Wniosek przystawa miał wszelkie dane prawdopodobieństwa. Po drugiej stronie ogródka leżał otwarty plac, na którym w chwili inwazji zbiega czatowała placówka obławy. Przez plac nie przebiegł, na ulicę nie wrócił, w ogrodzie go niema — może więc być tylko w domu, o ile nie zapadł się pod ziemię.

W mgnieniu oka otoczono podejrzanę domostwo, obsadzając drzwi i okna.

— W imieniu prawa proszę otworzyć! Z tem sakramentalnem zaklęciem zapukał przystaw do jedynego oświetlonego okienka.

— Zaraz, zaraz! — dało się słyszeć z wewnątrz.

Żrzytnął klucz, szczęknięta klamka i pchnięte niecierpliwą dłonią drzwi rozwarły się na oścież. W głębi sieni stała skulona postać garbatej staruszki.

Bez słowa objaśnienia wyparto ją pod ścianę. Policjanci, żandarmi i czerkiesi wtoczyli się zbitą masą, aby natychmiast wypełnić sobą wszystkie kąty po izbach, w piwnicy i mansardzię. U drzwi wejściowych pozostał tylko jeden policjant. Kiedy zdziwiony nieco tem osamotnieniem rozglądał się naokół, nagle otrzymał potężny cios w głowę i bez jęku zwałił się w poprzek drzwi. Przeszupując leżącego, garbata staruszka uważnie obejrzała się dookoła; a nie zauważywszy nikogo w pobliżu, kulejąc i sapiąc przedreptała ulicę i zniknęła w gardzieli ciasnego zaułka.

Tymczasem w domu, nawiedzonym przez obławę, przetrzasało wszystkie szpary i dziury, nie wyłączając pieców, kufrów, koszów, szaf, skrzyń i łóżek. Gospodarze, oboje w podeszłym wieku, Siemion Piotrowicz i Jekateryna Osipowna, małżonkowie Markowowie siedzieli w swej sypialni, gotując się do spoczynku, kiedy zapukano w okno. Mieli już zawołać służącą Akulinę Polikarpownę, kiedy ta dała się widzieć w sieni. Wieczorne najście przeraziło staruszków. Drżeli oboje jak liść osiki.

— Nikogo tu u was niema? — zapytał przystaw i dodał objaśniająco: obcego, oczywiście.

Siemion i Jekateryna byli jednakowo głusi.

— Jak powiadacie? — zagadnął rezolutnie on, spoglądając wprost w oczy



## NASZ PROGRAM.

Może się to komuś wydać dziwnem, że dopiero teraz, a więc w trzecim numerze „Kółców“, uważamy za stosowne naświetlić nieco nasz program. A jednak ma to swoje logiczne uzasadnienie. Chodziło wam najpierw o wprowadzenie pisma w społeczeństwie, a gdy to częściowo już nastąpiło — możemy pogawędzić o właściwych celach wznowionego wydawnictwa. Nie mamy bynajmniej zamiaru bawić jedynie Czytelników „wesołemi kawałami“. Humor i satyra są tu tylko instrumentem, przy pomocy którego będziemy wydobywali na światło dzienne te starannie ukrywane strony zjawisk życiowych, o których mówi się szeptem, jakkolwiek wielką klątwą zaciążyły nad ogółem. Szczególną uwagę zwrócimy zwłaszcza na t. zw. akcję społeczną, różne związki i stowarzyszenia dobroczynne oraz ich „ratunkowe“ imprezy w postaci okolicznościowych wydawnictw, koncertów, kwest ulicznych, loteryj i t. p. środków wyzyskiwania naiwności publicznej. Po nich przyjdzie kolej na innych społeczników i obrońców ludu.

## LOCARNEŃSKI AKORD NA TLE HARMONJI NARODÓW.

Dźwięczy ludów gitara  
locarneńskim akordem —  
rym-cy-cy!  
W takt tej pieśni... bułgara  
grek zajeżdża przez mordę  
w Petrycy.  
Anglik turka w Mossulu  
lekkio bierze na wabia —  
rym-cy-ce!  
Francuz zasię bez bólu  
Abd-El-Krima obrabia  
w Afryce  
Rzną się również druzowie  
z gaskonami aż miło —  
rom-ta-ta!  
I chińczykom na zdrowie  
też krwi trochę ubyło  
od lata.  
Lord Chamberlain syt chwały  
śle iskrowe depesze —  
rom-to-ni!  
By ruszyły oddziały  
konne, lotne i piesze  
z Kolonji.  
Na to deutsch-nationale  
naród szczery jak rzadko —  
rom-to-...sza!  
Nie chcą paktu już wcale,  
zwąc go „zdzierkiem i szmatką —  
do kosza“!

## APETYT NA CUDZY RACHUNEK.

Przechwalał się raz Gerwazy,  
Że zje obiad cztery razy,  
Gdy za wódkę, flaki, zrazy  
Płacić będzie... kum Protazy.  
Na to tamten: Macie cacę!  
Ja za siebie też nie płacę.

## KICIA I MYSZKI.

(Bajka.)

Myszy, sądząc, że kot ledwo dyszy, tej okazji bardzo rade zebrały się na naradę.

— Gardło dać musi! — brzmiał wniosek Pe-Pe-Siusi.

— Na hak z nim! Na dwa haki! — piszczwały Chu-Dziaki.

— Nie macie ambicji garstki! — urągały Na-Pa-Rstki — dawno już bowiem winien zwiśać z gruszki.

— Brawo! — darły się Piastuszki.

— Zamknąć go pod cztery kłódki! — piałły Endoludki.

— Certolicie z nim za wiele! — grzmiały Pe-Es-Ele.

I kogo tam nie było przy tej walnej hecy! Chlebofyki, dub-adecey, okonie — słowem: różnych kalibrów gryzonie. A wszystko to się rwało do kota pogromu. Kot zaś, nie rzekłszy nikomu ani słowa pogroźki czy też obietnic, przez cały ranek udawał, że go nie smęci ten kawał, że śpi głęboko i zmrużył jedno oko. Kiedy zaś egzekucji nadejść miała chwila, nie dał po sobie poznać, że się im przymila, tylko — schowawszy pazury — uniósł ogon do góry i jał wskazywać na migi, co kto otrzymać może w nagrodę „fatygi“: Pe-Pe-Siusia — kartofle, Na-Pa-Rstki — dzień krótki, Chu-Dziaki — żyda w miodzie, nadto Endoludki (już całkiem „swoją drogą“) reformie rolnej pogrzeb setny sprawić mogą, zaś Pe-Es-Ele wezmą ziemi wiele i nawet jeszcze więcej... Okoń — siedem tysięcy. Innym myszom i myszkom w miarę sił możliwości ukazano kiszczki, skórki, flaki, kości...

I co powiecie? Rzecz — zda się — niesłyszana dotychczas na świecie: cały mysi chór — groźny słabość swą odślania i... uchwała Kiciuni wotum zaufania.

## USTĘP... NIE Z „PANA TADEUSZA“.

Litwo, siostrzyco miła! Ty masz dobre zdrowie,  
Lecz... kiedy ktoś nareszcie od ciebie się dowie,  
Czego pragniesz właściwie? Bo „kluczysz“  
za długo,  
Wywijając to różdżką—to znowu maczuga,  
Czy za mało ci sadła dotychczas zalano,  
Że-ć zbrakło znów mandatów do dysput  
w Lugano?

## EKSCLENCJA EKSCLENCJI.

Komisarz ludowy do spraw zagranicznych Sowdepji, p. Cziczerin jest — jak wiadomo — gentlemanem wytwornych manier i rzadkiej uprzejmości. Zazwyczaj każdemu prawi komplementy. Nieinaczej było w Polsce.

— Eksclencjo, jestem zdumiony tem, co tu widzę — rzekł do gospodarza, ściskając dłoń na pożegnaniu. To, nad czem my od lat łamiemy głowy naprzódno, osiągnąłś Pan w kilku zaledwie miesiącach. Mam na myśli... likwidację kapitału.

urzędnikowi i oskrzydłając dłońią prawe ucho.

— Nie kryje się kto w waszym domu? — zawołał, podnosząc głos, pytający.

Zamarły już od lat słuch Siemiona i na ten raz odmówił posłuszeństwa. Starowina miał minę przyłapanego na gorącym uczynku i stropił się niezmiernie. Pośpieszyła mu z odsieczą małżonka.

— Kto tu mieszka, pytacie? — ozwała się szepleniąc, nie bez kokieteryj wszakże w głosie i uśmiechu. — Ja i on, dwoje nad grobem trzęsących się starców, Siemion Piotrowicz i Jekateryna Osipowna Markowowie. Był kupcem. Dziś przejada oszczędzoną krawawicę.

— A bodaj was wszyscy djabli! — huknął, wylażąc ze skóry, zniecierpliwiony czynownik. Jest tu kto jeszcze w tym domu oprócz tych głuchych pniaków? — rzucił pytanie w próżnię, nie licząc zresztą na odpowiedź.

Spotkała go miła niespodzianka. Z poza drzwi sąsiedniej izby, jak się okazało kuchni, doszły dziwne odgłosy, nito stłumione dźwięki brzuchołowcy, nito jakieś odległe, podziemne wołania.

Iwan Igorowicz szarpnął klamkę i wpadł pierwszy do ciemnej ubikacji.

— Światła! — krzyknął na podkomendnych.

W mgnieniu oka zapełgała naftowa lampka, której się rozpraszania mroków wzmocniło pół tuzina służbowych latarek.

— Kto tu? Wyjść z ukrycia, albo wyciągnijem za włosy! — odgrażał się podniecony kierownik ekspedycji.

Wśród dreptaniny i pochrzakiwania policjantów ozwał się znowu nieartykuło-

wany pomruk, podobny do zdławionego jęku.

— Smirno! — skomenderował przystaw.

Eskorta skamieniała w bezruchu.

— Kto tu? — ciągnął dalej — gadaj, bo każę strzelać.

Wtedy ze sklepionego lochu pod piecem wydarł się jęk bolesny.

Po chwili wydobyto stamtąd spory tłumok, owinięty sznurem, używanym do rozwieszania bielizny. Po rozluźnieniu więzów odchyliły się powijaki, zaimprovizowane z koca i watowanej kołdry, a oczom obecnych ukazał się nagi szkielet, powleczone żółtą skórą sędziwej kobiety. Staruszka miała usta przewiązane ręcznikiem. Gdy jej ten knebel zdjęto, dostała ataku hysterji. Kilka haustów zimnej wody podziało ją uspokajająco.

— Ktoś ty? — spytał przystaw.

— Służąca Markowowych, Akulina Polikarpowna — wycedziła babina.

— Kto cię tak urządził?

— Nie-czy-sty — tu przeżegnała się po trzykroć — tylko on, potępiony i przeklęty syn piekła mógł to ze mną uczynić. Wyszłam do ogrodu zebrać rozwieszoną pościel i bieliznę. Nagle — patrzę: hyc! i odrazu łap mnie za głowę. Ani pary puścić nie mogłam. Ręcznikiem utuftał mi głowę, potem obdarł do nagości, jak mnie matka rodziła, spowinał w kołdrę i kocyk, obwiązał sznurem i wepchnął tam, gdzieście mnie znaleźli. Ot i cała moja niesamowita przygoda.

— Och, ty czorcie Bezborodko, twoja to robota! — ryknął przedstawiciel ścigającej sprawiedliwości i gorączkowo zaczął wydawać rozkazy:



## KONKURS

dla sprawców zamachu, dokonanego w dniu 5 września 1924 r. we Lwowie na osobę Prezydenta Rzeczypospolitej.

Wobec zgłoszonych dotychczas zaledwie 5 kandydatur na tytuł i beneficja sprawcy zamachu, wymienionego powyżej, zachodzi obawa, że wielu jeszcze interesowanych nie powzięło wiadomości o toczącym się we Lwowie procesie karnym przeciw Szejgerowi. Do wzmiankowanej „posady“ przywiązane jest ulgowe przekroczenie granicy i subsydjum na dalsze studia. Zgłaszać się wprost do Lwowa (oczywiście: pisemnie), na ul. Batorego.

## ZA WYSOKIM PARKANEM.

Za wysokim parkanem  
Coś tam stuka i „hrymie“  
Dniem i nocą, nad ranem...  
Wiosną, latem i w zimie.  
A ostatnio za płotem  
Tym naprawdę coś pęka,  
Jakby kładła pokotem  
Całe miasto zła ręka.  
Kto tam walczy z tytanem?  
Co się dzieje, o Boże,  
Za wysokim parkanem?  
Dłubią dziurki w soborze.

## GDZIE NAUKA W LAS NIE POSZŁA.

W ubiegłą niedzielę obradowały w Warszawie jednocześnie aż trzy zjazdy: inspektorów szkolnych w sprawie nauki, bankowców gwoli organizacji i właścicieli nieruchomości, zwołany doraźnie, który też jeden tylko powziął konkretną uchwałę. Stwierdziwszy, że dotychczasowe obcowanie z bankami nauczyło klientów aż nadto rozumu, postanowiono zorganizować własną instytucję finansową gwoli uniknięcia niespodzianek.

## NA DRODZE Z SULEJÓWKA NA UL. NOWOWIEJSKA ZNALEZIONO PONIŻSZA KARTKĘ:

Gdyby świnia rogi miała,  
Pobodłaby ludzi,  
Lecz to Mądrość przewidziała,  
Rogów świni nie przydała.  
Ładnieby też wyglądała,  
Sądząc, że strach budzi!  
Gdyby świnia rogi miała,  
Wybodłaby ludzi.

## RAPORT SŁUŻBOWY.

(Autentyczne.)

Do Pana Naczelnika Oddziału Drogowego w Lublinie.

Proszę Pana Naczelnika przysłać szyby i szklarza na okno, bo na stacji Kraśnik wszystkie mają otwory pozatykane papierami, albo galganami, a szczególnie u telegrafistek i to już dziewiąty miesiąc, jak się puściły, pociągi a okna nieoprawione, bo wybijały opukanty i dwie już nie chodzą, bo chore i nie mogom pracować, bo wieje i spuchły i zemby je bolom.

Dozorca II Oddziału (podpis).

## Z PROJEKTÓW SANACYJNYCH.

Skandalu nie zrobię,  
Mówiąc, że w tej dobie  
Wielu pragnie... zmniejszyć stan parafji,  
Lecz — chcąc umrzeć sobie —  
Na stu — jeden w grobie  
Ledwie, jak się patrzy, lec potrafi...

Więc wśród planów wielu  
W sanacji portfetu  
Znajduje się taki projekt pono,  
Który ma na celu,  
Drogi przyjacielu,  
Abrahama przybliżyć nam łono...

Każdy na śmierć łasy,  
Mając już kwit z kasy  
Na wpłacony podatek państwowy,  
Pójdzie na Dynasy,  
Tam ściagną zeń pasy  
I pomogą do skreślenia głowy.

## DOKĄD PÓJŚĆ?

Pytajnik ten znajdziecie w dziennikach nad długim rejestrem teatrów, teatrzyków, kin, kabaretów, dancinów i tym podobnych przybytków muz, mniej lub więcej podkaszanych. My dajemy znacznie krótszą i praktyczniejszą odpowiedź. Dokąd pójść? Przedewszystkiem na proszoną kolację, w braku zaś takiej okazji — wszędzie tam, dokąd masz darmowy bilet.

## RECEPTA NA SMUTEK.

Kto chce śmiać się aż do łez  
Z klóciem w boku — albo bez,  
Kto humoru ceni dań  
I jest gotów oddać zań  
Wszystkie troski i kłopoty,  
Ciężkie znoje, siódme poty, —  
Ten o więcej niech nie pyta,  
Tylko stale „Kolce“ czyta.

## WYJĄTKI

## Z WIELKIEGO SENNIKA EGIPSKIEGO.

**Bank** — rozbój na gładkiej drodze.  
**Cyrk** — zebranie przedwyborcze.  
**Dama** — lekkomyślność.  
**Ewa** — kolacja w separatce.  
**Jawor** — przyszłość na wyżynach.  
**Kasa pełna** — fatamorgana.  
**Kredyt** — znajomość z warjatem.  
**Lukrecja** — kandydat na posła.  
**Lazarz** — nauczyciel ludowy.  
**Miłość** — omroczenie świadomości.  
**Ożenić się** — samobójstwo.  
**Pożyczyć komuś pieniędzy** — ostre szaleństwo.  
**Rada** — zła usługa przyjacielska.  
**Słowo honoru** — weksel bez żyranta.  
**Tantalowe męki** — u kobiet: powodzenie przyjaciółki; u mężczyzn: zdrowie teściowej.  
**Umrzeć** — zwinąć dotychczasowy interes.  
**Wandalizm** — rozlewanie wódki po stole.  
**Żyłę widzieć** — ujrzyć Grabskiego.

— Zajrzeć do komina! Zrewidować beczki! Przerzucić wszystkie graty i szpargały! Oczywiście drzwi i okna są dobrze strzeżone, nieprawdaż Wasili Nikiforowicz? — zagadnął rewirowego.

— Mucha nie wyleci — zapewnił służbisty podwładny.

— Dalej do roboty!

Sam przystaw postanowił wyjść z domu, aby z pewnej odległości móc lepiej ogarnąć całokształt operacji i mieć absolutną pewność, że żywa dusza nie wymknie się na zewnątrz.

Na progu drzwi wjściowych potknął się o jakieś leżące ciało.

— A to co? — mruknął pod nosem i na głos zawołał:

— Hej, tu do mnie z latarkami!

Czterech podkomendnych rzuciło się spełnić rozkaz.

Straszny obraz przedstawił się ich oczom. Na progu leżał trup kolegi z rozplataną głową. Okrzyk zgrozy i wściekłości wydarł się patrzącym.

— Do mnie! Do mnie wszyscy! — ryczał z pianą na ustach rozszalały Iwan Igorowicz. Nie szukać więcej! Tego psa tu niema — umknął nam po prostu z przed nosa.

W odpowiedzi ozwały się gwizdki i nawoływania. Oddział ścigał swych ludzi, gromadząc się u boku dowódcy. Rewirowy sprawdził komplet i zaraportował zwierzchnikowi, który na chwilę popadł w apatię. Wyczerpany wzruszeniami, pograżył się w głębokiej zadumie czy też zgola w tępej nieświadomości. Był bliski rozpacz. Zapamiętał się w bólu do-

znanej porażki. Wiedział, że pokpił sprawę i uświadamiał sobie następstwa tego nieszczęścia. Nie jemu innych wysłać na „pozycję“, lecz sam powędruje tam niechybnie. Jakto? Mieć ptaszka prawie w ręce i pozwolić mu wyfrunąć po trupie policjanta! Gubernja tego nigdy nie wybaczy. Przepadł urząd, runęła w gruzy karjera. Iwan Igorowicz nad własną mogiłą zaśpiewał: Wiecznaja pamiat'.

Z przykrego odrętwienia ocknął go gwar pomstujących towarzyszy. Pod wpływem soczystych, dosadnych epitetów wstała weń nowa energia.

— Nie djabel on, jak twierdzicie, lecz obwieś z pod ciemnej gwiazdy, a z takim radzono już sobie niejednokrotnie. Do trzech razy sztuka. Dwa mu się udały, ale następny zgotuje zagładę. Za mna, dzieci! Z pomocą Mikołaja Cudotwórcy dopadniemy tego zboja.

Czwórkami, w karnym szyku, wyszli na środek ulicy. Nieopodal spotkali trzech przechodniów.

— Nie przeszła wam drogi garbata baba? — spytał przystaw mimochodem.

— Babyśmy nie widzieli, ale jakiś dryblas omal nas nie poprzewracał, tak gnał na oślep w stronę dworca kolejowego. Wypomnieliśmy mu przodków do szóstego pokolenia.

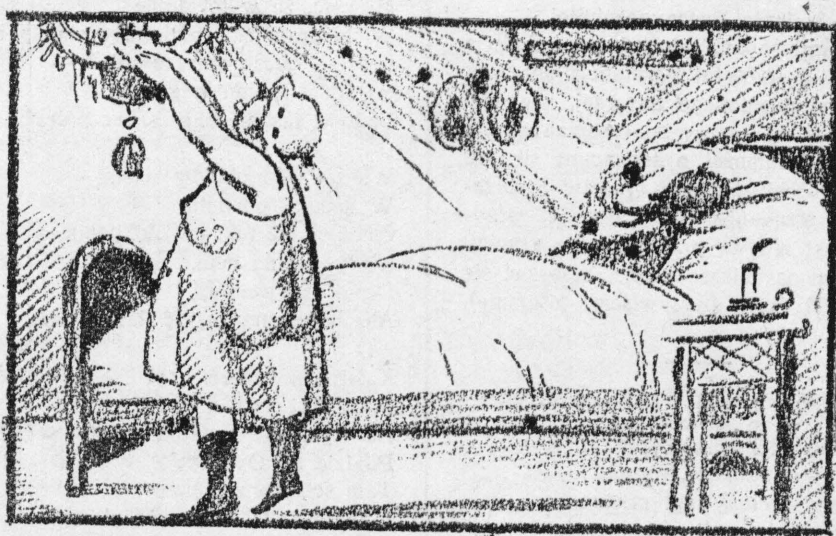
— Gdzie to było?

— Nie dalej jak o wiorstę od najbliższego zakrętu.

— Jezdni na koń! Piechury za mną bie-e-giem! — rzucił skwapliwie komendę i, ujawszy szablę w garść, pocwałował na przełaj przez pola ku migającym zdala światelkom stacyjnym.



# POCIECHA W ZMARTWIENIU.



Pan Jajteles ma ciężkie zmartwienie. Jutro powinien wykupić weksel, a tu ani grosza przy duszy. Nic więc dziwnego, że w noc, poprzedzającą termin płatności, dłużnik oka zmrużyć nie może i co chwila jęczy i wzdycha.

— Czego ty tak jójkasz? — pyta wreszcie zniecierpliwiona małżonka, pani Sura. Już druga po północy, a my nie śpimy.

— Mam jutro weksel wykupić, a brak mi pieniędzy... wzdycham, bo muszę o tem myśleć.

— Komu masz płacić?

— Kacenzsprungom... tym z za ściany.

Pani Sura wpada w zadumę, poczem otula się naprędce, wychodzi do sieni, wali do drzwi sąsiadów i woła:

— Słyszycie? Mój mąż weksla jutro nie wykupi.

Obudzeni tą hiobową wieścią Kacenzsprungowie uderzają w głośny lament.

Usłyszawszy ich bładania, wraca pani Sura do męża i powiada:

— Możesz zasnąć, Moryc. O twoim wekslu myślą już Kacenzsprungowie.

## WOJTEK I MAGDA.

Wojtek i Magda sypiali w stodole — Wojtek na górze, a Magda na dole. Wojtek był znany z skromności i cnoty — Magda jej stracić nie miała ochoty. Żyli, jak dwoje młodych żyć powinno, Co mają duszę czystą i niewinną. Aż tu raz nocą, nito snów widziadło, Na Magdę z góry coś miękkiego spadło... Zbudzona ze snu chwyta się za głowę, Lecz wnet poznaje, że to są Wojtkowe „Potrzeby“, które on na codzień wkłada I w których chadza, i na których siada... Spadły mu z kolka... Ano, cóż dziwnego? Magda se myśli i śmieje się z tego. Lecz odtąd stale — czy to z kolka winy, Czy z jakiej innej, cudownej przyczyny, Na śpiącą Magdę — no, nie uwierzycie! Spadało nocą Wojtkowe okrycie... Z tych zaś upadków Magda tak przybladła, Jak gdyby sama z pieca na łeb spadła. A morał jaki z tej historii płynie? Że spać na dole niezdrowo dziewczynie...

Komu doła Bohaterów narodowych nie jest obojętną, ten skorzysta z nadarzającej się sposobności i kupi los

**Loterji Fantowej Stowarzyszenia Weteranów 1863 r.**

Cena losu 3 zł. Wygranych 8.000 fantów Ciągłonie 25 listopada 1925 r.

## „CZŁOWIEK O MIEDZIANEM CZOLE“.

Na liczne zapytania naszych Czytelników, czy można otrzymać początek drukowanej w odcinku „Kołców“ powieści p. t. „Człowiek o miedzianem czole“, możemy na szczęście odpowiedzieć twierdząco. Administracja wydawnictwa przewidziała wzrost zainteresowania powieścią w miarę rozwoju jej akcji i dla spóźnionych odbiorców zatrzymała pewną ilość egzemplarzy 1 i 2 numeru „Kołców“; otrzymać je można za opłatą normalnej ceny 10 groszy za egzemplarz.

Odcinki powieści, zebrane przez Czytelników, zostaną przez wydawnictwo oprawione w efektowną okładkę, tak więc każdy pilny Czytelnik „Kołców“ otrzyma w swoim czasie — po ukończeniu druku powieści — piękną książkę zupełnie za darmo.

Cena ogłoszeń: 16 gr. za wiersz milimetr.

Adres Redakcji i Administracji:  
Ordynacka 3, telefon 302-04.

Redaktor przyjmuje we wtorki i czwartki  
od 6 — 7 w.

Redaktor Tadeusz Jan Żmudziński.

Wydawcy:

Tad. Jan Żmudziński i Apolinary Janowski.  
Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Ordynacka 3.

(Odciąć i zachować do oprawy)

Przycwałowali na stację zdyszani, obłoceni, ale pełni nadziei, że trud ten nie był daremny. Od dwu godzin żaden pociąg nie przejeżdżał. Zbieg musiał tkwić gdzieś w pobliżu.

Przeszukawszy dokładnie wszystkie zabudowania stacyjne od piwnic do strychni i stojące na torach wagony i parowozy, oblawa gęstym łańcuchem jęła przetrząsać okoliczne zagrody i domki robotnicze. Idąc po kolei, wtargnięto do sklepu marsarskiego Marji Kalecińskiej, polki i żony polaka, monter fabrycznego. Kalecińska, druga piękność w tym zapadłym i przez Boga zapomnianym kącie, siedziała na krześle za ladą. Czarne jej iskrzące źrenice spotkały policjantów nieufnym spojrzeniem.

— Nie macie żadnego gościa? — zapytał przodownik.

— Mam jednego... pod sercem, lecz ten jeszcze nie otrzymał od was paszportu i nie ma obowiązku się meldować.

— Żarty na bok, Marjo Antonowna, szukamy niebezpiecznego zbrodniarza.

— I ja właśnie miałabym go ukrywać?

— Może się to stać i bez waszej wiedzy. Wpełźnie taki gad zgoła niespostrzeżenie i w mysią dziurę się schowa. Nie miejcie nam za złe, że zrewidujemy sklep i mieszkanie — to również dla waszego dobra. Mieszkać pod jednym dachem z takim bandytą nie jest ani przyjemne, ani też bezpieczne.

— A szukajcie sobie — rzekła z rezygnacją — tylko mnie zostawcie w spokoju, bo...

— Wiemy, wiemy i nie myślimy was trudzić. Siedzcie sobie — my sami trafimy, gdzie trzeba.

Rewizja tu masarki nie dała wyniku. Gdy za ostatnim z zbrojnych mężów zamknęły się podwoje, z pod lady wynurzyła się głowa doktora Bezborodki.

— Bóg wam zapłać, zacna kobieto, za ocalenie przed napaścią. Póki życia błogosławić was będę.

— A cóżeś to pan napsocił, że cię ściągają te wyżły?

— Przyprawiłem rogi popowi i stąd ten cały głupi pościg. Wiecie, jak nas jeńców prześladowają. Popadja sama wieszala mi się na szyję, a kiedy miałem jej dość, poszczuła na mnie męża.

Masarka zaniósł się śmiechem, podnosząc do oczu fartuszek.

— Taka to już ich natura — rzekła — o byle głupstwo robią wielkie hece. Zeszłego roku zabatożyli jeńca za to, że nie odmówił przysługi czerwonej Anisji. A ona od lat siedmiu opłakuje wdowieństwo. Kiedyś pan tu wpadł, zaraz sobie pomyślałam, iż w grze jest kobieta.

— I dlatego pozwoliła mi pani korzystać z azylu? Stokrotne, tysiąckrotne dzięki!

Bezborodko ujął obie dłonie pięknej Marji i obsypywał je pocałunkami. Nie bronila mu, nawykła do hołdów, a dla wszelkich ofiar wojny przejęta szczerem współczuciem.

— Cóż pan teraz uczynisz?

— Pójdę w las i za budką dróżnika wsiądę na pierwszy przejeżdżający pociąg. Jutro będę w Jekaterynburgu.

W pół godziny później bocznymi drzwiami ze sklepu Kalecińskiej wymknął się niespostrzeżenie jakiś cień i zlał się